

Niewola tatarska



HENRYK SIENKIEWICZ

Niewola tatarska

URYWKI Z KRONIKI SZLACHECKIEJ ALEKSEGO ZDANOBORSKIEGO

I

Pacholę jadąc przodem, albo-li téż za mną, pobrzdękiwało na teorbaniku, a mnie żalność i tęsknota za Marysią ścisnęły serce—i im dalej od niej odjeżdżałem, tém ją miłowałem goręcej. Przychodziły mi wczas na myśl słowa: „*post equitem sedet atra cura*,” lecz gdy w tak wielkiem fortuny mojej uszczupleniu z J. W. Tworzyańskim mówić, ani mu się wypowiadać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na nową fortunę zarobić i *gloria militari* się przyozdobiwszy, dopieroż przed nim stanąć. Bóg mi, ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, że tego wprzód nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo téż w wodę skoczyć, albo zgoła krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednej rzeczy, nawet dla wdzięcznej dziewczki mojej nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przekazane, bym wiecznie uważał, iż gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwank podawać, ale *integra rodu dignitas* jest puścizną przodków, którą mam oddać, tak jak ją wziąłem: *integram*. — Wieczny odpoczynek racz ojcom moim dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Choćby J. W. Tworzyański dziewczkę swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym ję gdzie wprowadzić, gdyby zaś bacząc na szczupłość méj fortuny w dumie swęj *pauprem*, albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomściłbym się na nim musiał — czego, gdy on jest ojcem mojej Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóz i nie zostało jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach, częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzystą, które zaraz na prowizyą J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potem łzami i ciężkiem wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pacholkiem obróciliśmy konie ku Wschodowi.

Wypadło jechać na Zaslów, Bar do Haysynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawiając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pacholek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśni śpiewał, a mnie się zdało że przedemną leci, jako ptak za którym gonię: sława—a za mną jako drugi ptak: tęsknota. Jechaliśmy do stannicy, zwanéj Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem na wojnę z bisurmany wystawił; ale do Mohylnej jest bardzo daleko, bo chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i prócz tego, trzeba tam jechać przez stępy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni łotrzykowie, więc i szyi własnej strzedz bardzo wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako, że pierwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznanne spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud téż w niej twardszy niż u nas i hardziejczy, a w chłopie fantazyja taka, jakiej szlachcicby się nie powstydził. Gdy osadą przejeżdżasz, choć pozna żeś urodzonym, ledwie ci czapki uchylili, a w oczy prosto patrzy. W każdej chacie jest tam i szabla i rusznica, a niejedyn chłop obuszek w rękę nosi, właśnie jako gdzieindziej ślachcic. Zawzięta téż natura jest w tych ludziach i nawet—za co ich szabla już karała i jeszcze pokarże—z komisarzyów Rzeczypospolitej nie wiele sobie robią, taki bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i płuży

gospodarka, woli na swoim, niż na pańskim osiadać. Za to do pocztów dworskich, albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitej chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców z nich wyborny, choć i w polu *non obtreçant*, ale krzyk wielki uczyniwszy, na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i koląc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru, niż do wsi;—koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a są tak ściśle jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* dniewprowe ucieka, i tam w siczy, żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na którychto ich swawolach wiele ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki ich nie poskromi miła ojczyzna nasza. Na miejscu—jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz wraz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnej woli osiadać. Konstrukcją ciała są zarówno jak i *moribus* od naszych chłopów odmienni, gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiej podobniejszą, wąsy tak jak u wołochów czarne, łby zaś, modę od pogaństwa przejąwszy, gołą, na samym tylko czubie, srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając dziwowałem się bardzo i téj ziemi i wszystkiemu co w niej jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak téż i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszej, próżnoby po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą, drudzy ze wszech stron nadciągają, i po wszystkich szlakach, tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onej pustoszy stepowej łatwiej usłyszeć niżli skowronka nad glebą, huk samopałów, szczęk szabel, rżenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci ślepi będąc, na lyrach grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz téż tam widząc, że ci co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny, jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią jako magnat złotem—i więcej o piękną śmierć niżli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni wojnę nad wszystko umiłowałszy, choć nieraz z wielkiej krwi pochodząc, w ustawicznej żołnierce prawie dziczej i na bitwę, jakby właśnie na wesele, z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie najdując zaś ujścia dla swych wojennych umorów, spokojności powszechnej zagrażają. Tych straceńcami zowią. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardo go płaczą, mówiąc, że lepiej przystoi mężowi na stepie, niżli w łożnicy jako niewieście konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok, albo-li téż dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potem ani rajtarya niemiecka, ani janczary furji jego w równęj liczbie się nie ostoją, a cóż dopiero inny podlejszy żołnierz, jako naprzykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i téj unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pacholkiem napotykalismy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbarażskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły po brzuchy w trawach, prychając jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie, jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczałki, lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli i zniknęli, a jeszcze wiatr niósł od ich strony rozhówór, jakoby właśnie od burzy dalekiej. Między pułkami ciągnęły także maże czumackie skrzypiące przezażliwie, od których konie nam się ploszyły. Czumakowie owi, jedni sól z Limanu nad *Euxinem* biorą, drudzy aż do *Palus Meotis* z pomiędzy sprosnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mołdawskie na Sicz wiozą, a żórawim ordynkiem jedni za drugimi ciągnąc, czasem łańcuch na miłę w stepie tworzą. Napotykalismy także tabuny wołów, wszystko jednej siwéj maści o wielkich porozginanych rogach. Te stłoczywszy się, idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko łby rogate chwieją im się w obie strony. Za stanicą kisielową zaszła nam drogę rota z pod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnej zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzeć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopij błyskały jakoby płomyki jarzących świec, pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rosło, usarze ci bowiem więcej byli podobni do rot królów niżli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stanicą kraj stał się głuchszy. Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich, do różnych stannic rozsyłanych, lub téż chłopów na pustkowie uciekających. Nie zbliżalismy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni téż czasem do nas

przychodzili, bądźto zgłodnieli, bądź zabłąkani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakiś człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczej paszczęki podobną. Ujrzawszy go pacholę, krzyknąć od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkolakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum, miasto zawyć, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potem nieznamy opowiedział się tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemu się nawet dziwił, bo ci, co są w Litwie, koranu się trzymają. Ów zaś dla żony wiarę zmienił, a później służąc jako *vexillifer* w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka, z listami do Ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale przecie pacholkowi markotno było z nim spać przy jednym ogniu. Częściej też noce spędzaliśmy samowtór śpiąc, albo i nieśpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz układłszy się na trawie, patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta co najserdeczniej na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I *in luctu* miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mnie dochowa, mając serce uciwe i duszę tak czystą, jako kropla lzy wypłakaną w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejakić nocy przyszedłszy, rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojej glewii spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potem rozplynęła się w parę, ja zaś, gdy się zbudziłem, myślałem: anioł był koło mnie, a co mnie przytęmiło, to, że i konie strzygąc uszami, prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożej i za zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Maryi i Św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się też onęj nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę zroszoną chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecia wygląda jakby bisior perlami tkany. Ztąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopieroż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrgając w gąszczy, strącają one perły na ziemię. Ptastwa moc jest nieprzebrana w tej krainie. Napotykaliliśmy co dnia to dropie chytne, to żórawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnawszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odpracują, gdy zaś po niebie z gęganiem okrutnym lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze też, licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżycy zwykli, ale wedle mojego rozumu, to niema nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swoim ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowej mogile, to zrywając się bez racy i łopotem i krakaniem tak ogromnym, a żałościwem, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniej niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiej rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się, wołając o pomstę. Mogiły też tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze, czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona — co czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożej jest wszystko.

Ziemia to jest mężów walecznych, którą kopytami końskimi depcą polacy, kozaki i tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojno się uganiając. A tak całe pokolenia, jako one figurki w papierowym zapustnym teatrum ukazują się i nikną. Wielu tam także dobrej szlachty na zamieszkanie przychodzi, i ci chłopcy z Korony lub też miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają, bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazją, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić, lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż, gdy pacholę ślacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce, albowi też na szkolnej ławie utrzymać, bo się jako białożór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudopacholek na pana wychodzi, jako już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczypospolitej piastują. Po bożej też to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyrastać, a przytęmi przez takie osadzanie stepu,

potęga Rzeczypospolitej się pomnaża. Z mazurów, który to naród bardzo jest mnożny i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcej tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupią idą, jeden za drugiego zginąć gotowy...

Rozważając sprawy one, bardzo się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegę, na co ślachcic, żołnierz chrześcijański zawsze *paratus* być winien—i wówczas koronę niebieską otrzymam—albo miłej ojczyźnie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni też do fortuny dochodzili nie feldrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej też nie żalowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których każdy okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi aby fortuna co z szabli przysła, w szablę przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszczce, przeciwnie dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicji ślacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakies słyszę, co na mnie wołają: „imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij!” Ty, Boże, tak mnie błogosław, jako imię przechowam: ojcom dorównam i pierwój się złamię, niż zegnę.

I tom sobie także przedsię zamierzył, że da-li mi Bóg szczęśnej chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowiu, i nie w podartej czapce, ale w piórach strusich i nie z jednym pacholkiem, ale z poczem i buzdyganem w rękę, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyńskiego do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dziewczeczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosićbym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż, jeśli miłując ją, żonę moję pragnę z niej uczynić, to na to, by w dostatku przed jej kochanemi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bosc, na ciernistej drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce, w miarę, jakeśmy się z pacholkiem głębię w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując, zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im dalej jednak, tém niebezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześcijańską, żołnierz też tam codziennie do komunii świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większemi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onęj stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za niemi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mniemają wszakże, że bestye te, tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciółmi tatarom będąc, którzy dla swęj drapieżności i szpetnego pogaństwa, snadnie z dzikimi bestyami mogą być porównani.

Ale w tém myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy kozacy obok chorągwi pancernęj w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają, i okrutnie nad niemi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie, i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pacholkiem, chcąc wiedzieć coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Alfy swego wzywali napróżno, od tych zaś, którzy się już piekli swąd wielki rozchodził się po stepie, a kozackowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz tej swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: „umykaj, aby znać i tobie tak nie było.” Dopiero poznavszy we mnie ślachcica, pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącemi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś kawał nieba z gwiazdami jasnemi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiero one gwiazdki świecić przestały, ale

tę i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc, żołnierze miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzelśmy przy zorzy, kilkanaście żórawi studziennych, a wiatер przyniósł do nas szczekanie psów i rzenie koni. Bliżej też ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve janua salutis*, która het po rosie się rozlegała, a była najgłośniejsza, bo ją trzystu towarzystwa, klęcząc na majdanie, pod gołem niebem śpiewało. Przyjechawszy, udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszczyca, możnego ślachcica z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierzem doświadczony, bo w długiej żołnierce, tak go pocięto, iż powiadano o nim, że mu poganie cały alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitej zasłużony. Ten, jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potem inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakoż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stannicach grano larum, rycerstwo zaś w największej bacznosci było utrzymywane.

II

Szliśmy, jako zwyczajnie komunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskimi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwem dla nas zdarzeniem, tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy samej ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzyć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy, iż stał niedaleko, kozacy też wysłani na zwiady pod same wozy się podkradli i kilkunastu jeńców złapanych arkanami sprowadzili, ale tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, *sanguinem* tylko miasto słów *oribus* wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat hana osobą swoją się znajdował i wielu znacznych murzów; odliczywszy zaś tych tatarów, którzy koni zapasných, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci którzy do bitwy użyci być mogli, czterokroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda, zaraz poczał nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albowiem widzieliśmy, że w tej proporcji i liczbie tylko czterokroć większej, tatarzy mocy naszej oprzeć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych, utrudniała im ucieczkę, przeto już ujsć przed naszemi szablami nie byli w stanie. Wiedzieli też i oni dobrze o nas i innej rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawić się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni balt zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkim słuchają. Wraz też i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzyć mogło — a potem całkiem znikła. Wtedy ujrzelśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od której kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same chorągwie nasze podlatali, łącząc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzyby gonić się z niemi chcieli. Ale wojewoda kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładu przywieść, co też i wprędce się stało, bo żołnierz po większej części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości patrzyliśmy na harce i dziwne szarwarki kozaków, którzy sobie najlepiej w pojedynkę z tém plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca, albo i na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można tego było rozpoznać, bo padło odrazu kilka na wszystkie strony... Przywłókl też stary *essaul* kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał pod same nogi wojewody, ale już zaduszonego, bo go włókl z półtoręj stai, przyczem i twarz mu się całkiem o osty stepowe podarła. Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda, któremu też już pilno było, kazał w surmy i kotły uderzyć, krzycząc: „poczynać! poczynać!” Orda odpowiedziała wrzaskiem okrutnym, które to odgłosy słysząc harcownicy zaraz umknęli z pola, na którym usarya miała teraz po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło na wzgórzach, gotowe wraz zerwać się na nieprzyjaciela, ale podobało się fantazji J. W. wojewody, starym obyczajem jedną chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta, łamiąc wszystko po drodze, postrach i za-

mięszanie w szykach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę chorągiew idącą pod wodzą Babskiego jak na dłoni, ile że spuszczając się zwolna po pochyłości, przechodziła tuż koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już impet największy, aż ziemia gięła się pod niemi, usarze pochyliłi się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze warczało srodze, a wiatery uderzył od nich na nas tak mocny, że aż pióra zatrzęsły się nam na szyszakach. Tak szli naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek, właśnie jakoby burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmistrze mieli rozkaz pomocy im żadnej nie dawać, póki by sobie gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Patrzyliśmy na nich długo, bo że dwie staje lecieli, a kurzawa ile że szli murawą nie była wielka. Po naszych chorągwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka, że słyhać było bzykanie much i bąków. Kaźden tylko oczy za tamtemi wytrzeszczał, a czasem koń zarżał, lub krew wietrząc szyję wyciągnął i chrapy otworzywszy, stękał żałośnie. W koszu, między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potem podnieśli krzyk: *Alla! Alla!* i wnet chmara strzał, jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich też doszło wołanie: „Jezus, Marya!” co było znakiem, iż wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą Bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwaliło się na dwie połowy, jakoby drzewo klinem rozszczerzone, oni zaś szli środkiem, niby ulicą. Dopieroż ulica ta zawarła się z tyłu za nimi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiął się pod mężem, ramię zbrojne; to znów porczyk podleciał w górę jako ptak i spadł nadół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niej kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas też szmery poczęły chodzić przez całe chorągwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanią za konających, gdy wtém wyrostek pewien ślachecki, zamiast: „zmiłuj się nad niemi” krzyknął: „widzę jeszcze proporce!” Wtedy żołnierze jednym głosem wołać zaczęli, by i im też skoczyć za tamtemi było dozwolono. Zapał wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską, tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodszy, śluzę okwite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: „puśćcie, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!” Ale pułkownik, ciszę wielką groźnie nakazawszy, rzekł, „iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiej milicyi, bez komendy uderzać i zbytniem łakomstwem cierpliwości rycerskiej kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie.” Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na onych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż, żeleźce w brzuchu mający poruszał i wił z boleści, pragnąc zdusić onę chorągiew, która w nim już tkwiła.

Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpały się na niebie. Ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga chorągiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni, poczał się kosz kolebać, i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przyczystej Maryi. Wtém armata, której sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdyanami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc słyszałeś ustawnie: Święty Piotrze! Święty Janie! Święty Macieju!; jaki taki świętych poniechawszy, wołał: „bij, morduj!” Ja, grzeszny sługa Boży, akt strzelisty odmawiać począłem, a gdy go skończył i ku Maryi myśl się podniosła, to cud stał się nademną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterczącymi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojej usiadła i trzepiąc skrzydełkami, jęła powtarzać „ciwit! ciwit!” jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod hełmem. A wtém i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buńczukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: „bij psu braty, w imię Boże!” Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy też okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłos zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze ludzi, konie, namioty, ostrokoły. Trzask łamanych kopii, huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ćmy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił, lub pięścią zbrojną dusze z ciał wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów

tysiącem wzbily się w powietrze. Gorąco od stłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopieroż poszły wrzaski ochryple, jęk tratowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gęstszym trupem padając, i terror jał ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli gdzie uciekać, wyjąć więc i rękoma głowy osłaniając, pod cięciami mieczów marli. Konie z jeźdźcami przez furę zdruzgotane, stopy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawej oślizgłości, siekąc, szliśmy przez tłumy ku wozom, z kąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się rozlegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła luna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami a w tych skrach i dymie było w taborze żalnym rykiem napelniło powietrze; potem zasię tabór rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdźców i wielbłądy zdziczałe ze strachu rozbiegły się jako uragan po stepie. Przy wozach największe powstało zamieszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńcom cięli, którzy ręce wolne poczuwszy, łamali pałace się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast, wściekłość tém większą w żołnierzach wzbudziło, więc i ci, którzy padając na twarz, ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły, w pień wycięto. Za temi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy; ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W ciemności cięto na oślep. Aż koń podemną, pyskiem krew wyrzuciwszy, padł na murawę, a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi z ran krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy, chciałem się Bogu, albo Najświętszej Pannie polecić, gdy wtém step zakręcił się ze mną, *lucida sidera* podskoczyły na niebie i zemdlałem.

III

...Poganin wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę, albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu niemiło. A choć się bisurmanie lepszymi od chrześcian powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swęj nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć onę pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czegoby przedsię czynić nie potrzebowali, gdyby zatwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego téż narodu, niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z téj przyczyny, że kościołów i księży chrześciańskich u nich niéma; gdy więc któremu z jeńców w grzech śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci, nie mogąc dostać rozgrzeszenia, potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się téż obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto zwane *Bimek-bairon*, przed którymto czasem, post miesiąc cały zachowują. Mahomet téż, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycyi koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszać lata niewoli, wysłużonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać do jakowego terminu służyć mają, i obietnic pod przysięgą dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieżę, albo li tam gdzie wieży niéma, na wzgórze wejdzie i pocznie, palce w uszy włożywszy, wołać: *Lai Lacha i Lalach Mahomet Rossulach esse de Miellai, Lala i Lalach!* Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, Mahometowego pomocnika u spodu jest wyobrazona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierzą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nie tylko niewolników ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego *efficiuntur*. Taką przysięgę, mówią, pierwszy dészcz rozpuszcza i dlatego nic słowom ich wierzyć nie można.

Jeńców do Azyi, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzedz każą, do robót ich używają, surowcem z byczej skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich, pokrytych kobiercami, siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo są łakomi i głosu piszczałek, po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich, jako na fletni przebieirają. Prócz tego mają téż multanki, kotły końską skórą obciągnięte, cymbały, tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniące i kije długie, grzywą zdobne a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki ztąd powstaje harmider, że psi wyją, oni zaś, ciesząc się, mówią, iż i ich uszom

słodysz ztąd przychodzi i choroby różne przed owemi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się kobyłém skisłém mlekiem zalewają, które gorzej niżli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak, że jeńców zabijają, mękami ich wpoprzód zmorzywszy. Z chrześcijańskich narodów, Genuieńcykowie i Wenecyanie z nimi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, *scilicet Graeci* budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni lojem baranym napuściwszy i świeczki w środek zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych światel białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprośności dopuszczają się największych. Księża ich są razem czarownikami i ze złemi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyjdzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ująć bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Chersonesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitej mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko ślacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego też skóra staje się na nich czarna. W bitwie jednak zbrojnym mężom dostać nie umieją, z której to przyczyny wojna ich na fortelach więcej niżli na mężtwie polega, i na tém, by napaść, złupić i copędzjej uciekać. Szczególniej na widok pancernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach niema sposobu, aby się ich impetowi oprzeć. Każda też chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszków. Niewoli u kozaków gorzej śmierci nie pragną; ale potykać im się z nimi łatwiej. Tak też mniemam, że Rzeczpospolita, gdyby chciała, mogłaby snadnie cały Krym zawojować, z Wenecją w przymierze wszedłszy, któraby floty swoje na *Pontus Euxinus* wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoś są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcej, niżli bezpieczeństwo Rzplitej ceniąc, nie radziby, by się to stać miało. Tych Boże w ich ślepcie oświeć.

Żywot tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojej gospodarce, albo raczej próżnowaniu; z głoduby im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu-to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ściągłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny też pod namiotami, albo w kamiennym rozwalonym alusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z którychto skarbów nijakiego pożytku nie mają, bojąc się, by z nich hanowi lub turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich, wełną do góry, chodzą. Ale co któren ma, to chowa i bogatym się powiada, od czego inni też go szanują. O miastach, któreby sami zbudowali, nie słyszałem, a te co są, to z dawnych czasów pochodzą; Chersonesus bowiem drzewiej bardzo był zamieszkały, dopóki osad i mieszkańców tamtejszych różni poganie nie starli. Kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot, jakoby w niechlujnych koczowiskach pędzą. Mnie zaś z wielą innymi zaprowadzili do pewnej osady Kizlich zwanój, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały *ad mare profundum* się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które, jak twierdzą, jeszcze Saurromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokruszonych, które dawniej świątyniami były, dziś zaś tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jedną tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają, lub kamieniami członki tłuką. Za mną też dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzucały, wołając *gaur! gaur!* Ale znosiłem to cierpliwie, zwłaszcza iż Aga Sukyman, jakoby po naszymu rzec: Salomon miasta tego *praefectus*, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wzięwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negocwał. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytróści swój nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: „Ej

wy Lachowie! kaźden z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie.” Owo więc i do Azji, jako wielu innych mnie nie sprzedał i prawie wolność mając zupełną, codziennie nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską, jako turkus błękitną i myślom wodze puszczałem. Często też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana. Ani bowiem o posługach rycerskich dla miłej ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce, i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu com w niej utracił. Wolejby był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman od razu na męki wydał, bo przynajmniej palmębym otrzymał i dusznymi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści, końcem boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od prac i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis*. Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytém, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwej, niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejakiem innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy swęj najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż, jeśli Pan Jezus prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszymi braćmi naszymi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z nimi jestem, i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dla Boga! nie może to być!” Alem ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówił: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją, niewdzięcznością się wyplacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiał.” A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzplitej o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizyi przyrosło; powtóre, bałem się, aby J. W. Tworzyański *magnanimitate sua*, z własnej szkatuły za mnie płacić nie chciał, coby ambicyi mojej przeciwnem było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sukymana, rzekłem mu, aby chwilę męki odwlec iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż dałem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moję opisawszy, prosiłem go aby modlił się o wspomóżenie dla mnie, które tylko z niebiesiech przyjść mogło. Uradowany w chciwości swęj Sukyman, pismo owo przez tatarów, idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił, i do alusu swego, którego w całym mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo poważany, tak dla swego męztwa, jak i dla fortuny, która w jednym tylko go upośledziła, a to, iż z wielu żon, żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich Iłę, wielce dla jęj urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem tatarowie nie trzymają niewiast swych tak jak turcy w zamknięciu, ani też oblicza im pokrywać nie każą. Która też do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością, jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potém zaś, gdy przyrodzona jęj dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa, buklę ze skislém mlękiem ku wargom moim pochylała, lub gałkę z ryżu i baraniego łoju ukręciwszy, w gębę mi takową na znak swęj przychylności kładła. Czemu Sukyman nietylko się nie przeciwiał, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze

mną codzien, wielce mnie polubił, i częstokroć do porzucenia smutków namawiał. Przemennie téż i innym jeńcom lepiej się działo, albowiem Iłła wszelkiej żywności obficie im dostarczała.

Z takowej przyczyny oni pokochali ją, i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jój, orędowniczką swoją ją zowiąc. Poganka téż owa, nietylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak iż nieraz żał się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swój, zgoła potępioną być musi. Ku mnie zaś coraz więcej serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusu i tyftykiem się z głową owinąwszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu jako kot jarzęcemi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła. „Bakczy, niewolnicą twoją być pragnę.” I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądy grzeszne opadły, od których w żarliwej modlitwie obrony szukać musiałem. Tego jednak jeszcze dnia przyszedł do mnie Sukyman i tak się ozwał: „Zwiodłeś mnie listem swoim, za co powinienym cię katować, gdy jednak Allach synami mnie nie pobłogosławił, nad młodością i urodą twoją litość mam. Przeto ci powiem, iż jeśli błędy wiary swój porzucisz i proroka naszego przyjmiesz, Iłłę, która cię miłuje, dam ci, synem cię swoim uczynię i wszystko co mam, twoje będzie.” Więc od wielkiego zdumienia pary zrazu z ust puścić nie mogłem, ale ochłonawszy odrzekłem mu, iż i szatan Chrystusa kusił, królestwa Mu różne z góry ukazując.

Rozgniewany temi słowy, ryknął jakoby zwierz dziki; zaraz szaty, jakie na sobie miałem zwlec mi kazał i wyszedł. Co, gdym uczynił, symarę zgrzebną mi niewolnik kałmuk przyniósł i wodę trzodom groźnie nosić polecił. A tak pamiętam, iż było to w poniedziałek, gdym do posług onych wziąć się musiał. Chodziłem w górę do strumienia, który u morza był słony, ze skórzanemi workami i tam wodę czerpiąc, do cysterny kamiennój ją wlewałem. Tataruki, które prac chusty do strumienia także chodziły, poszczuły mnie psami. Wieczorem nie poszedłem jako poprzednio do ałusu, ale spać się między wielbłądami układałem, a żem się uznoił, Bóg mi sen zaraz zesłał. Nagle zbudziwszy się, jakowąś figurę wiotką, ku mnie w świetle miesiąca idącą spostrzegłem. Przeżegnałem się, myśląc iż ducha widzę, ale to była Iłła, która naczynia z wodą i oliwą niosła. Potém nogi moje obmywszy i namaściwszy, w podłe mnie w kuczki siadła, po dawnemu w milczeniu mi się przypatrując, z oczu zaś jój wielkie srebrne krople spływały. Rzekłem tedy: „Iłło, czemuś przyszła?” Ona zaś poczęła szemrać cicho, miesiącowi źrenice swe mokre oddając: „Bakczy, czemu mną pogardziłeś?” I od płakania więcej mówić nie mogła. Wówczas poruszyło się we mnie ku niéj serce i chciałem ją do łona mego garnać, ale zaraz Marysia bieluchna stanęła przedemną i grzeszna myśl precz odleciała. Rzekłem więc, że mężem jój, choćby dla jój wiary być nie mogę, która w oczach moich tém jest dla duszy ludzkiej, czém plugawa rdza na żelazie; ale więcej jój dać mogę, niżli wszystko, co od ludzi spotkać ją mogło, a to chrzest święty, któren ją z grzechu pierworodnego obmyje i zbawienie jój zapewni. Ona jednak w ślepotę swój przejrzyć nie mogąc, z desperacją wielką za głowę się rękoma ułapiwszy, jak przyszła tak i odeszła. Na drugi dzień powróciłem do swojej pracy, która tém cięższą była, że jeść skąpo mnie dawali. Napotkałem téż i Sukymana. Ten rzekł: „Zegnę cię.” Na co odpowiedziałem: „Ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę ślachcicem będąc, mam nieugiętą.” Co usłyszawszy, ze zgrzytaniem zębów się oddalił. Tak mnie Bóg skarał za ów symulowany list, bo gdybym go nie pisał, nie byłbym tak srodze Sukymana, odrzuciwszy jego córkę, przeciw sobie podniecił.

W piątek przyszli, jako zwykle niewolnicy rozmyślać, smutne pieśni śpiewać i rany myć. Ujrawszy mnie w mojem upodleniu, z rzewliwym płaczem do nóg mi przypadli, krzycząc: „majestat pański został pohańbiony!” Alem ja tak nie mniemał, gdyż Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowi ślacheckiemu okazać, że godność krwi zacnej, nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kala. Jeńcowie zaś, wiedząc o kondycjach jakie mnie Sukyman dawał, wołali: „Udaj, panie, że proroka przyjmujesz, co jeśli pozorne będzie, duszy swój nie zgubisz, a tak synem możnego Sukymana zostawszy i sobie i nam ulgę przyniesiesz, bo twoimi niewolnikami będziemy.” Wtedy rzekłem im, iż gdy tak radzą, psom bliskimi być muszą, albowiem szczekaniem przeciw Bogu gęby swe plugawia, nie rozumiejąc, że nie godzi się bić choćby pozornie pokłonów przed fałszywymi proroki. Na to rzekli: „głowy

my tu wszyscy położymy” —i w desperacji trwali, Bóg bowiem nieurodzonym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił.

Uszyszawszy o tém *praefectus* Sukyman, bardzo się rozgniewał i głodem zgjąć mnie postanowił. Zabić bowiem, ani sprzedać mnie nie chciał, bo mnie sam dawniej miłował i dla Iłły tego uczynić nie mógł, która, jako się później dowiedziałem, gdy się przeciw szyi méj odgrażał, szat jego z wielkimi prośbami się czepiała, w téj nadziei ojca utrzymując, iż umysł mój, kwoli ich chęciom, wkrótce się zmieni. Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utrapień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale gdym pomyślał o ojcach moich, o sławie i nieskazitelności imienia które mnie zostawili, moc wielka wstąpiła w serce moje. Jedno więc o tém myślałem, by ślacheckiemu stanowi, którego dignitatem w sobie nosiłem, i którego jest Rzeczypospolitej fundamentem, czemkolwiek w niewoli swój hańby nie przynieść. Rzekł mi Sukyman, chcąc, abym się shańbił: „Z psami wolno ci jadać i to co im rzucą brać możesz.” Nie chcąc, aby się to stało, żywiłem się tylko szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Często też z początku żywność przy mnie, przez jakąś niewidomą rękę kładziona była, w czém domyślałem się Iłły. Ale później strzeżono jęj, aby tego czynić nie mogła. Inne zaś czarownice tatarskie, nietylko że miłosierdzia nademną nie miały, ale raz zbiły mnie kijankami tak, iż całe moje ciało sine było. Jeśli więc szarańczy zbrakło, głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po tatarskich ogrodach zbierane przynosili, ale gdym ujrzał, iż chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać. Spoglądali na mnie ze łzami, powtarzając: „Panie nasz, na co ci przyszło!” Niewola też, nietylko moja, ale wszystkich, sroższą się stała, gdyż tatarowie wielką złością ku nam zapłonęli. Jeden zaś kozak niebożatko, imieniem Fedko na pal był wbity, na którym drugiego dnia dopiero, powtarzając: *Chrystu! Chrystu!* umarł. Nocą, zdjąwszy go z pala, pogrzebliśmy ciało w piaskach morskich, o śmierć równie piękną Boga prosząc, za którą Fedko pewnie w niebie przez Ojca Przedwiecznego był nobilitowany, i purpurą okryty, i do chwały najwyższej wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczą żywiłem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wychudłem i zczerniałem srodze i nogi chwiały się już podemną. Wory, gdym je w strumieniu napełnił, dźwigałem z jęczmieniem, aż wreszcie na barłogu podłe zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcej nie mogłem. To one bestye, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot i prychając nozdrzami, litowały się nademną. Wszelako raz w nocy, nawpół we śnie, znowu Iłłę widziałem, która wody i jedzenia mi przyniosła. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swém sny mnie o miłej ojczyźnie zsyłał i Marysia przychodziła do mnie także, cała w bieli i z anielskimi skrzydłami na plecach, któremi od spiekoty głowę moją osłaniała. Ona przychodziła zawsze w południe, w skwar wielki, a nad wieczorami, gdym bywał najsłabszy, słyszałem różne śpiewania z nieba dochodzące. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potem zdrowie wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt, ku niebu powyginane. Pewnego razu Sukyman przechodząc koło mnie rzekł: „poznaj moc sług proroka!” — na co odpowiedziałem: „poznaj cierpliwość sługi Chrystusa.”

Tymczasem nadeszło drugie święto: Czaczuk bayron. Tatarowie, gdy noc zapadła, zapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili; potem łuczywo każdy w rękę dzierżąc, na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełni samą. Więc oni ku miesiącowi oczy zwróciwszy, wołali wielkimi głosami do swego Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jałmużny wielkie też dnia tego czynią; więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i o co który prosił z żywności, albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszyli, a niejakiego *essaulę*, którego z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu niecierpiał, ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sukyman przechodził koło barłogu na którym leżałem, a wedle niego szła Iłła, ale bardzo dumnie, gdyż wcale na mnie nie spojrziała. Wszelako placek jęczmienny z kosza wzięwszy, rzuciła mi go, w inną stronę spoglądając, którego w pobliżu siedzący niewolnik kalmuk porwał. Sukyman zaś myślał, iż razem z innymi będę żebrał, i byłby mi wówczas nie odmówił. Ale choć zdawna nic już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą

godną ślachcica na równi z pospólstwem ręce wyciągać, i wołałem głód, co mi szarpał wnętrzności, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sukyman do innych: „Zaprawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek i znać, trzebaby go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada.” I nie wiedział o tém poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największém kładła się przed Panem, bo męka była prawie odemnie silniejsza. W nocy jednak ktoś znowu żywność koło mnie położył, którą chciwie zjadłszy, poczułem się mocniejszy. Zwlokłem się zaraz z barłogu i choć ręce i nogi mi drżały, począłem na nowo nosić wodę do cysterny. Szarańczy też Bóg przez dni następne zesłał obfitość, a przytém głód mnie przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich, one ślimaczki marne, tak niemi jakby orzeszkami grzechocąc.

Noce poczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ąlusach chronić się dozwolono, ja zaś na moim barłogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie, ciałami swemi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam i to była jedna nadzieja moja, bo innej przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było— i za tobą dziewczeczko moja, której nie widząc, nietylko miłować nie przestałem, ale pragnąłem więcej jako wody w znoju, jako chleba w głodzie, jako śmierci w męce....

Wszelako Opatrzność różnemi sposoby czuwa nad temi, których doświadcza. Gdyby bowiem nie nędza i poniewierka w jakiej żyłem, mógłby mnie Sukyman do Carogrodu, lub do Galaty sprzedać, gdzie są wielkie niewolników targowiska, a teraz z powodu oniej mizeryi niktby mnie i darmo wziąć nie chciał, bo więcej do konającego człeka, lub do Łazarza, niż do rycerza byłem podobny. Mniejsza iż tylko smolna symara okrywała nagie członki moje, ale chudość moja żyjącym kościotrupem mnie czyniła, a przytém włos bujny wyrósł mi na brodzie i głowie, skóra popękała na całym ciele i pokryła się strupami i liszajami od wielbłądów. Inni za trędowatego mnie mieli i nawet w niewolnikach obrzydliwość wzbudzać począłem. Alem już ciało swe, powłokę marną, która jak każda odzież zedrze się i w szmaty popada, za grzechy moje ofiarował, bo tylko dwie rzeczy trwale być mają, a to dusza nieśmiertelna i honor, który na urodzeniu się fundując, tak pryncypalnym jest dla niej przymiotem, jako właśnie światłość dla gwiazd niebieskich.

IV

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, żem prawie zapominał, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: „Ptaszyny marne! ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, żem jako ślachcic patriota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płacząc, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem.” Koniec mój nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiła się różga gniewu Bożego, kometa, i siném okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni tatarowie z gwarem, brząkaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z luków ku niebu ciskali, aby zestrążyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny, bo wieści doszły, że nad *Palus Maeotis* wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść téj wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami w dzień na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, z kąd miał „czarny dziw,” jako go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowej pokazał. Sam Chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie.

*

Przybył tedy Chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. *Praefectus* Sukyman ze czcią go wielką podejmował,

a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy niewiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodźów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, głównie w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłówne, a inne atusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliższej przyszła. Dziękował tedy Bogu Chan za ocalenie i szczerze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni *fructa* łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba.

*

Pewnego razu przejeżdżając podług barłogu, na którym leżałem, bardzo blisko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, co by to był za człowiek tak nędzny. Ten, co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sukymana na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżał, gdyż w końcu rzekł głośno: „Spróbuj go, panie!” Czem zaciekawiony Chan, sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim, krzycząc: „na twarz psie niewierny!” alem tego nie uczynił, choć mnie długimi trzciniami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: „Czemu przedemną na twarz upaść nie chcesz?” Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli ślaccicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił.” Tu Chan, odwróciwszy odemnie twarz, rzekł: „Roztropnie mówiłeś Sukymanie.” A potem do mnie: „Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć—cobyś wybrał?” Na to odrzekłem, „że niewolnikowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną co zechce, niech jednak baczy, że kaźden najpodlejszego stanu człowiek, może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy w woli Boga swoje *inicum* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa.” On zastanowiwszy się nad moimi słowy, tak potem mówił: „Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał.” Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli.” Co słysząc tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go Roztropnym. Namysliwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni.” Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale, gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas.”

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej, jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach Chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozważałem — rzece — słowa któreś rzekł, w mądrości mojej, i na wagach mej sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męztwo łaskę u mnie; mów tedy, czego byś pragnął, abym dla cię uczynił?” — Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonym stanie, wolność najmilszymby mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci jej odmówię?” — Tedy daj śmierć! odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsięwzię. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namysliwszy się, mówił: „Gaurze! nie naciągaj luku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: żółty tołub ci dam, do dworu cię mego wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz.” Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem że to pokusy są może szatańskie, a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: czém byłeś na świecie? Zali rzeknę onym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim. I okrutny strach mnie zdjął przed tém ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do Chana ręce wołałem: „Panie! woli ty mojej nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wzięw-

szy, muszę im go odnieść nieskalanym.” „Niewolniku, złamałeś łuk” — rzekł Chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takimi do Sukymana ozwał się słowy: „Mądry Sukymanie! Zaprawdę, w lasce zadaleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał.”

Wtém odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana, kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wyteżywszy, o to najwięcej Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, że przedstawiciel jest tój siły krzyża, co się nie zgina, że ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, że ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spływałem. Pytali mnie tedy: „padniesz twarzą?” Odpowiadałem: „ślachcicem polskim jestem.” Wtedy ci siekli mnie nanowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami memi napalili, abym się piekąc, prędkiej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: „wieszysz-że ty mnie i słyszysz?” Aż tu nagle, jakoby przez całe stopy i Perekop, doszedł mnie głos: „widzę!” — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiem obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nademną i poczułem, że lecę na rękę onęj niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach? Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów Palladzie cichy, krwawej ziemiце synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!”... I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą.

V

...Wóz skrzypiał podemną i wiatr obwiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę: step jedno, step jako morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jasleczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: „Bogu niech będzie chwała, jużes nam Waćpan oprzytomniał.” Pytam: gdzie jadę? — Do Rzeczypospolitej — Wolny-m jest? — Wolny. — Kto mnie wykupił? Panienska. — Gdy rzekł: „panienka,” tedy coś, jakby ogromne płkanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem.

Wóz skrzypiał podemną. Gdy oprzytomniał dzień później, wszystko mi Chimek powiadał. Oto J. W. Tworzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł, a Marysia dziedziczką jego zostawszy, przy wuju swym prałacie mieszkała. Tam ich wieść o méj niedoli i mękach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy, afekt ku mnie wyznała i z wolą jego od Sukymanowej mocy mnie wykupiła.

Chimek Chaną już w Kizlich nie zastał, któren, gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sukyman za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Chimek téż myślał, że raczej umarłego dowiezie, bo przez dwie niedziele o bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiawszy, że za przyczyną dziewczki mojej z niewoli pogańskiej zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dziewczkę oną miłosierną miłować i strzedz po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jakoby mój pobyt w Krymie i niewola u Sukymana i wycierpiane męki snem były. Takto Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż *in tempore* wszystko mija, a jedno *in*

memoria zostaje, z tą wszelako odmianą, iż im sroższe były przygody, tém o nich wspominać miliej. A w ten sposób nietylko *acti labores*, ale i *dolores jucundi* się stają. Że zaś człeka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodi. Mnie zaś anioła wybawiciela w Marysi mojej zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił...

Jedno gdym się w nocy budził, albo rano zaświtał, ocuciwszy się ze spania, powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc, na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnej jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na wznak na wozie, jakby wór jaki, — i tak dojechaliśmy do Mohylnej. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeli, sygnęli się ku mnie jakby pszczoły z ula wołając: „Wiemy o tobie wiemy! witaj towarzyszu miły!” — i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: „Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!” Potem zaś zaczęli mnie dawać, co który miał, albo z łupów zdobył; więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogiemi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia dyamentowe, tak, że na kilka tysięcy czerw, złotych skarbów mi zsykali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tém łączniej iż na wojnę właśnie szli, na kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potem jechaliśmy dalej. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektórzy żołnierze zbliżając się pytali: „kogo wieziecie?” Na co Chimek odpowiadał: „ślachcica w niewoli poszczerbionego.” Po których słowach nietylko każdy zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czém kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochód na Perejasław symulując, przez Dniepr się przeprawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: „Mniejszych starostwami nagradzają, o czém do króla Jegomości pisać będę.” I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosnęło na widok jego wojsk, te bowiem lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnej bitwie nieprzyjaciel pola im dotrzymać nie mógł.

Patrząc na tych ludzi poczerńiałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowej, nie jadali po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazją mieli bohaterką, uczyłem się pokory i myślałem: nie słuszniebym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach takowych, nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiewają weseli, jakoby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sieść, ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć! ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były wczas na Ukrainie dla wszelkiej duszy rycerskiej. Co noc było widać luny, a słycać surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim wojewodą kamienieckim po stepach krążył, Rożyński książko koło Pawołoczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził, Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią jako wilcy pomykali jarami. Raz też mnie czern pijana winem moldawskim opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż ślachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskier wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać, poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozak *essaul*, któren ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bayron został uwolniony. Począł tędy krzyżeć: „*Pane! pane!*” a potem: „świętego to lacha wiozą!” i do nóg moich przypadł, gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli pomagałem, inni też z czapkami do mnie przyśli, których zaraz zgromiłem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitej nie trwają — Kremski zaś nietylko że gardła mi nie odjął, ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzywszy, strażę mi dodał. Takto w mężu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i męztwo uczcić potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremskiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitej nieprzyjacielem, za jakiego go mieli...

Na całej Ukrainie, ba w całej Rzplitej wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemię nasze spuścił, ile że przy wojnie szła i piekielnica zaraza. Gdy *animus* innemi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał, ale ja ją własnymi oczyma z wozu oglądałem. Szła ta zaraza nie ławą, ale jako i w Krymie, miejscami ludzi napadając, pojedyncze miasteczka, wie i osady zabierała. Byli też tu i owdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może.

Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesy czynił, na których chorągwie z trupiemi głowami bywały noszone. Bóg przytém ślepotę jakowś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnymi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako poprostu i ućciwie można było uczynić, sejmy sprawami swemi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone; w czém zawsze było nieszczęście nasze, bo gdyby wszystka szlachta i możni do boju zgodnie się zerwali, tedyby *orbis terrarum* przed nami zadrżać musiał. Co mówię dlatego, że nie masz żołnierzy, którzyby kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potém i janczarów tureckich i piechotę szkocką i szwedzką rajtaryą przez nich łamaną, tak twierdzą, iż przyrodzenie hojniej nas w wojenną sposobność, niżeli innych opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawiają dziesięćkroć.

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli Bożej szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszém się powinno wydawać na koń sięć, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała ztąd większa i zabłąkanie *animi* mniejsze i zasługa doskonalsza i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróżny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać, jedno o Rzeczpospolitą, która jest i ma być nieustającą. Amen!

VI

...Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy moje łzami zalane obróć, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rzeniem koni jeżdżą i wszelka ziemska Rzeczpospolita cześć Ci oddawa. A iżeś mnie sługę swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił i w tém bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobiegały mi włosy. Tam, Panie, gdzie działa ogniem śpiewały majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I na Multanach i na Inflanecach płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci, Panie, tarcz moją pokażę i powiem: „patrz — nie splamiona, a splamiona, to jedno krwią moją. Imię-m nieskalane przechował, ducham nie poddał—i gnąc się z bólu — przeciw się nie złamał.”

Na tém kończą się urywki z pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z téj kroniczki, iż ów „książę niezłomny,” który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bólów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Maryą, jak to z pobieżnej wzmianki końcowej widać, rozdzieliły go losy. Zapewne też wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż ślachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/niewola-tatarska/>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Pisma*, t. 5, Gebethner i Wolff, Warszawa 1883.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Ilona Skrzypczak, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0895-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.